

Tam, gdzie była ziemia

„You forget what you want to remember,
and you remember what you want to forget”.
Cormac McCarthy (20.07.1933–13.06.2023)

Jest 11 czerwca 2023 roku. Od wysadzenia przez Rosjan zapory Kachowskiej Elektrowni Wodnej w Chersoniu minęło sześć dni. Leje deszcz i jak okiem sięgnąć nic nie widać. Woda zatopiła obwodnicę, pola, na których pasły się krowy, podwórka oraz boiska do piłki nożnej.

W oddali majaczy szaroniebieska plama, powoli zbliża się i wyostrza. To płyną bracia bliźniacy Borys i Jurij Kniażynscy – wysokiej postury, długowłosi i siwi mężczyźni. Od momentu wysadzenia tamy ratują na chersońskich wodach ludzi i zwierzęta. Co jakiś czas tankują swoją łódź nazwaną na cześć okrętów Wikingów. Ich Drakkar płynie w nieznaną. Nowe trasy nie zostały jeszcze wytyczone, więc nie wiadomo, co czyha pod wodą. Jeszcze za wcześnie na oszacowanie szkód wyrządzonych przez powódź ludziom i przyrodzie. Nie wiemy, co będzie dalej.

Bliźniacy

Gdy Rosjanie wysadzili zapórę, powstała w ten sposób fala porwała także Drakkar. Jeden z braci rzucił się w pław i po pokonaniu kilku kilometrów dogonił łódź. Twierdzi, że Dniepr da radę przepłynąć, nawet gdyby ktoś związał mu ręce i nogi. Bliźniacy słuchają ciężkiego norweskiego rocka, od dziecka noszą długie włosy. Jurij stoi z wiośłem w rękę, Borys nalewa benzynę.

Z bagażnika Drakkara dobiegają popiskiwanie. Jeden z braci nachyla się i wyciąga mokrego, brązowo-rudego kociaka, który rozpaczliwie próbuje się wyrwać. Podaje go Karenowi. Przyjechał karetką pogotowia z artykułami pierwszej potrzeby. Czterdziesto-kilkuletni mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu przekazuje braciom paczki z żywnością. Podaje im adresy na zatopionej wyspie Korabel, dokąd należy je dostarczyć.

- Dlaczego mieszkańcy nie chcą się ewakuować?
- Niech pan sam ich zapyta.

To już piąty ambulans Karena, poprzednie spalili Rosjanie. Mężczyzna przyjechał z Symferopola przed rozpoczęciem pełnowymiarowej inwazji i pod ostrzałem wywoził ludzi z okupowanego wówczas obwodu kijowskiego, następnie z Chersonia i ze wschodu. Karen wkłada kociaka do pustego pudełka.

Głównym zadaniem mężczyzny jest jednak ewakuacja niepełnosprawnej staruszki, zamieszkującej odciętą od świata wyspę. Kłarynda Wasyliwna jeździ na wózku, pisze wiersze i wróży z kart. Jej matka służyła jako snajperka podczas drugiej wojny światowej.

Ulewa się nasila.

– Całe życie spędziliśmy na rzece. Nurt znamy jak własną kieszeń – twierdzą zgodnie bracia. – Gdy przepływamy, ludzie krzyczą „Wody! Wody!” i wymachują w oknach swoimi kulami.

Wczoraj na ich trasie wyruciła się łódź z dwoma uczestnikami wojskowej misji ratunkowej. Silny prąd wciągnął ich pod wodę. Obaj żołnierze utonęli.

Woda

Drakkar podpływa do wyspy Korabel. Z wody, podobne do stalowych prętów, sterczą kępy trawy. W oddali na drzewie wisi czerwony materiał, którym oznaczono punkt orientacyjny. Za nim ciągnie się ulica. Znad wody wystają wierzchołki znaków drogowych. Na brzegu można dostrzec wiele uszkodzonych łodzi. Nikt nie zna mapy nowego dna. Nawet Drakkar nie uniknął zderzenia z ogrodzeniem. Została mu pamiątka w postaci załatanej dziury.

Dzwoni telefon braci. To Karen, którego poznali przed trzema dniami. Mówią, że za godzinę dotrą do wspomnianej staruszki. Najpierw jednak bliźniacy sprzątają z pokładu duże haczyki z błystkami, dobre na szczupaki, żeby kobieta się nimi przypadkiem nie zraniła. Wokół leżą rozrzucone: lusterko, rękawice, puszka pasztetu, luneta, taśma, mydło i duży podbierak na psy, bo zdarza się, że przerażone zwierzęta gryzą.

– Mieliśmy daczę na wyspie, ale pewnie ją zmyło. Jeszcze nie było czasu, żeby sprawdzić. Popłyniemy tam, gdy sytuacja się trochę uspokoi. Wokół rosły drzewa morelowe, wiśnie, śliwy, czereśnie, truskawki, maliny...

Z wody wynurzają się dojrzałe owoce morwy, liście winorośli i zielone, błyszczące kulki atyczy. Na dryfującej desce stoi samica bażanta. W oddali widać dwa sierpy, jeden się zanurza. To kaczkki.

Deszcz ustaje. Na powierzchni pojawiają się opalizujące plamy oleju solarowego. Unoszący się nad wodą smród drażni nozdrza.

– Tak wygląda katastrofa... – mówi jeden z braci.

Tam, gdzie woda już opadła, wynurzyły się zielone wierzchołki drzew i szerniaste, przegniłe pnie. Bracia schylają głowy, aby przepłynąć pod rurami gazociągu. Zwisające linie wysokiego napięcia przypominają zerwaną z łuku cięciwę. Dachy, jak okiem sięgnąć... W jednym z budynków runęła ściana i przekrzywił się strop. Na dnie majaczy kształt podobny do samochodu. W oddali widać przewrócony dźwig oraz zatopiony most, a obok asfaltownię i cegielnię, które stoją puste, od kiedy nasiliły się bombardowania. Niektóre budynki naznaczone zostały ciemnymi śladami pożarów. Szyby są powybijane.

– Wczoraj widzieliśmy dryfującą minę morską z wypustkami. Silny prąd skierował ją w naszą stronę.

Nagle czuć uderzenie. Łódź zahaczyła o szyny. W tym miejscu przebiegała linia kolejowa.

Wczoraj bracia podpłynęli do jachtu, który zawisł na wystających z wody gałęziach topoli. Właściciele, małżeństwo, nie chcieli go porzucić. Bliźniakom udało się jednak zepchnąć łódź na wodę. Później napotkali policję, która przez cztery godziny sprawdzała, czy Jura i Borys nie są przypadkiem dywersantami. W Chersoniu panuje napięta atmosfera. Dziś Rosjanie ostrzelali łódź ewakuującą ludność z okupowanych terenów. Zabili trzy osoby.

Drakkar sunie powoli, by nie zaczepić o rurociąg z rafinerii. Mija złocone kopuły błękitnych cerkwi i topolowe aleje. Bracia płyną, jakby to był wenecki Canal Grande.

Krople deszczu wydłużają się i kształtem przypominają strzały. Słychać artylerię wroga. Podwórka mają szczególnie dobrą akustykę i ludzie nauczyli się rozpoznawać po dźwięku rodzaj broni. Teraz jednak tafla wody pod oknami sprawia, że odgłosy mieszają się ze sobą.

Ogień

Bliźniacy skręcają przed znakiem drogowym „strefa zamieszkania”. Na klatkach schodowych namalowano postaci z bajek. W wodzie znajduje się rzeźba dziecka. Na progu domu, pod który podeszła woda, stoi staruszek.

– Dzieeeeń dobry – woła. – Nie chcecie zarzucić sieci na krewetki?

– Neeee.

– Macie papierosy?

– Teraz będziemy ewakuować babcię, zaraz do pana wrócimy.

– Babcię???

– Wyszczera się w bezzębnym uśmiechu. – Przywieźcie ją do mnie!

Skręcają w inną uliczkę. Z oddali macha do nich ktoś z miejscowych:

– Zapraszamy do nas – uśmiecha się. – Na gorący pilaw!

Wpływamy na podwórko. Łódź uderza dziobem o schody otoczone roślinnością – jak zwykle: dolne części pod wodą, po środku warstwa czerni, zielone wierzchołki. Kilka osób krząta się przy rozstawionym na brzegu grillu.

– Co słychać na stałym lądzie? – wołają kobiety z drugiego piętra.

Jura i Borys wychodzą z łodzi i kierują się w stronę zalanych budynków. Większość mieszkańców to emeryci. Ktoś obok saganka na grillu położył książkę Aleksieja Tołstoja.

– Rosyjski literat dobrze się nadaje na rozpałkę – mówi Ołeh, który zaprosił ich na posiłek.

Wspomina, że po wysadzeniu tamy najstraszniejsze były pierwsze dwie godziny. Jego sąsiadka dodaje:

– Wszyscy myśleliśmy, że kiedy woda nadejdzie, to nas zmyje! Ale żyjemy tak już od sześciu dni. Podzwoniliśmy po sąsiadach i policzyliśmy, co kto ma – wodę, konserwy...

Ołeh zebrał potamane drewniane meble, które służą za opał.

– Mamy tu kogoś z dyplomem kucharza!

Rumiana Ludmyła rzeczywiście pracuje w szkolnej stołówce:

– Gotujemy z nadwyżką. Wystarczy dla wszystkich, którzy mogą do nas dopłynąć. Na jutro zaplanowaliśmy kulisz, a na pojutrze szczawiovąg.

Pilaw jest całkiem smaczny. Brakuje odrobiny cebuli i marchewki, widocznie zabrakło składników.

– Na ile ocenia pan danie?

– Dwadzieścia na dziesięć – mówi jeden z bliźniaków.

Siedzi na ławce pod winoroślą, nogi trzyma w wodzie. Po chwili wstaje, sięga do stoika kiszonych ogórków, którymi częstuje siwowłosa Nina. Tymczasem inna kobieta, pani Walentyna, prowadzi mnie do swojego mieszkania na drugim piętrze i pokazuje Kieszę – białego, puchatego kota:

– Kieszka kończy dziś szesnaście lat. Sąsiedzi z mojej klatki schodowej złożyli mu życzenia.

Mieszkańcy kamienicy nalegają, aby każdy nowo przybyły skosztował pilawu.

– Idzie wojna, a ja się bawię w Robinsona – mówi Luda. – Żeby pan widział, co się działo wczoraj. Ostrzeliwują nas, a my im takiego – i zaczyna wymachiwać pięściami zaciśniętymi w figę. – Tu-tu-tu-tu, kule świszczą, a my zastanawiamy się, w co trafią. ...Przed wysadzeniem tamy przyśniła mi się czysta woda w studni. Niezbyt dużo, ale była biała. ...To dobrze – wzdycha – to dobrze, to dobrze.

– Wpadnijcie jutro na kulisz – śmieje się Ołeh.

Łódź odpływa w stronę mieszkania staruszki, którą bracia mają za zadanie ewakuować. W oddali, zza liści winorośli machają do nas Ołeh, Nina, Luda, Walia i jeszcze trzy inne osoby.

Kłarynda i surmia

Burty łodzi są oblepione ropą. Na wodzie znów unoszą się plamy. Obok Drakkara przepływają żołnierze:

– Okej u was? – wołają do bliźniaków.

– Wszystko dobrze!

Na jednej z ulic Łódź wpływa pod silny prąd. Bracia wskakują do wody, przywiązują linę i ciągną Drakkar wzdłuż zalanych sklepów, biur i zakładów fryzjerskich.

Wracają na pokład i płyną do budynku pani Kłaryndy. Jej mieszkanie na parterze zalała woda, dlatego przeniosła się do sąsiadów na drugie piętro. W pokoju leży kilka rowerów poukładanych w stos, wszędzie stoją kaktusy, a na toaletce widać dziesięć flakonów perfum.

Siedemdziesięcioośmioletnia Kłarynda Wasyliwna podnosi się z łózka i siada na wózku inwalidzkim. Nie rusza nogami. Kładzie sobie na kolanach duże pudełko, w którym znajdują się dokumenty oraz trzy telefony. Odblokowuje jeden z nich, znajduje wiersz ku pamięci wyzwolenia Chersonia. Czyta o życiu w strachu, o rzekomym poddaniu miasta przez kolaborantów. Prawie płacze przy wersie, w którym załopotaty flagi. Nasze.

Blizniacy znoszą stukilogramową kobietę z drugiego piętra. Zatrzymują się na chwilę piętro niżej, aby pani Kłarynda mogła pożegnać się ze swoją sąsiadką Łarysą, która rozpacza – być może nigdy więcej się nie zobaczą. Kłarynda Wasyliwna szepcze przez łyż:

– Nie płacz, wszystko będzie dobrze, będzie dobrze.

Jurijowi i Borysowi pomagają dwaj mężczyźni. Razem liczą do trzech i wnoszą starszkę na łódź. Później okrywają ją kocami oraz płaszczem przeciwdeszczowym.

Odpywają kilka metrów od brzegu i wtedy pani Kłarynda prosi, aby zatrzymali się na moment przy drzewie pokrytym białymi kwiatami:

– Surmiczko... żegnaj – płacze.

Dotyka drzewa, a później macha do niego. Codziennie oglądała je przez okno.

Gdy przepływamy ulicami jej rodzinnego miasta, starszuszka uświadamia sobie, że już dawno nie wychodziła z domu.

– Zdążyłam zapomnieć, jak to wszystko wygląda. Było tak pięknie. Róże, winorośle, śpiewały słowiki...

To dopiero początek

– Nie mam pojęcia, kim jest Karen – mówi Kłarynda Wasyliwna, gdy już znajduje się na brzegu. O jego istnieniu dowiedziała się dopiero wczoraj na jednym z czatów internetowych.

Tu stoi samochód Karena, w którym nie ma już porannych artykułów żywnościowych i kota, za to siedzi w nim chora kobieta zabrana z podtopionej wsi. Karen jest w fantastycznym nastroju. Opowiada o innych przeprowadzonych ewakuacjach, na przykład o tym, jak zabrali ze Snihuriwki porzucony autobus szkolny, którym w zeszłym roku pojechali na Wielkanoc do Chersonia. Po drodze w punktach kontrolnych pytano: „Skąd i dokąd jedziesz?”. Odpowiadał: „Cholera wie skąd i cholera wie dokąd” – i go przepuszczali.

Deszcz słabnie, ale wiatr porywa płaszcze. Opiekę nad Kłaryndą Wasyliwną przejmą wolontariusze.

Borys i Jura odpywają w dal podobni dwóm ogromnym ptakom. Za chwilę pospieszą na ratunek innym potrzebującym.

Stacja benzynowa przy wylotówce z Chersonia. Znajomy ratownik, który kilka dni temu przebywał na placu Korabelnym, największym punkcie ewakuacyjnym, opowiada, że pomagał wczoraj swojej wychowawczyni. Kiedyś chciała go wyrzucić ze szkoły. Na stację wchodzi Artur w białym szlafroku hotelowym – wypadł ze skutera wodnego i jego ubrania są mokre.

Młody mężczyzna walczy w okolicy Pisków w obwodzie donieckim. Wziął pięć dni wolnego i dowodzi tutaj trzema towarzyszami broni, którzy wcześniej odnieśli obrażenia, a teraz razem pomagają na Chersońszczyźnie. Artur zorganizował instagramową zbiórkę na zakup dwóch skuterów wodnych. Przewożą nimi ludzi, którzy po wysadzeniu przez Rosjan zapory znaleźli się w potrzebie.

Artur pokazuje w telefonie zdjęcia ciał wyłowionych z wody żołnierzy wroga, a później opowiada, że zaadoptował kotka, któremu dał na imię Chersoń. Matka utonęła, a kociaka wyciągnięto spod dachówki zalanego domu.

Podchodzi do nas jeden z kolegów Artura.

– Ma w nodze dziurę jak cipkę – śmieje się Artur, wskazując żołnierza. – Na front się już nie nadaje, kiedy idzie, za głośno ta dziura cmoka. A tyle razy mówiłem: „Chowaj nogi”. Ale nie posłuchał. I pewnego dnia docierają do mnie wieści, że został ranny odłamkiem. To prawda, w okopach tęskni się za dziewczynami, ale żeby od razu coś takiego?

– Trzeba by być joginem!

– E tam – żołnierz łapie się za piętę i powoli ciągnie nogę w górę. – Wcale nie trzeba być joginem.

Wszyscy się śmieją. Życie trwa.

Jednak miastu grozi wybuch zarazy. Chodzą słuchy, że potwierdzono przypadki cholery.

Deszcz ustaje, ale gdy przed dwiema godzinami krople wciąż jeszcze były o powierzchnię wody, bracia Jurij i Borys, spoglądając w dal, mówili jednym głosem:

– Wysepki się nie ostaną... Rzeki zmienią koryta... Zginą miliony żywych stworzeń...

Update

Mija kilka miesięcy. Wojna trwa.

Bracia Kniażynscy, oprócz Drakkara, do rozwożenia pomocy humanitarnej używają teraz samochodu. Są szczęśliwi, że wciągnęli się w wolontariat.

Auto okleili taśmą. Gdy jechali przez miasto, odłamek trafił w tylne drzwi. Na szczęście nie wieźli wtedy pasażerów.

Borys i Jurij wielokrotnie odwiedzali wyspę Korabel, gdzie częstowano nas piławem. Mówią, że ludzie przesyłają pozdrowienia. Wśród nich także pani Kłarynda, którą w czerwcu udało się bezpiecznie przewieźć do Kijowa. Otrzymała pomoc w wyrobieniu dokumentów i teraz rozkoszuje się widokiem surmii u krewnych w Portugalii.

Karen nadal działa jako wolontariusz. Spotkał bliźniaków, gdy żołnierze zwrócili się do niego po pomoc w znalezieniu łodzi. Wypytywał Kniażynskich, czy nie widzieli w trakcie swoich podróży porzuconych przy brzegu jednostek. Bracia, którzy rzeczywiście natrafiali na takie łodzie, najpierw starali się odnaleźć właścicieli, a jeśli się to nie udało, przekazywali je lokalnym oddziałom Sił Obrony Terytorialnej.

Jeśli chodzi o Artura, którego spotkaliśmy na stacji benzynowej, to sądząc po informacjach z Instagrama, wciąż walczy. Publikuje nagrania z dronami, bronią, kotami i dziećmi. Opowiada o tym, jak mijają dni na froncie, oraz o żołnierzach, którzy ranni dostali numer trzysta...

Kniażynscy starają się trzymać z dala od głównego nurtu Dniepru. Poruszają się po dopływach, jeziorach i rozlewiskach, by uniknąć spotkania z grupami dywersyjno-rozpoznawczymi i trafienia pod przypadkowy ostrzał.

Kilkukrotnie chłopakom udało się dopłynąć do wyspy, na której znajdowała się ich dacza. Został tam jeden strażnik – wujek Kola. Gdy temperatura spadła, rozpalili w piecyku. Rosjanie musieli zobaczyć to przez termowizory i postali w jego kierunku salwę z moździerza. Wtedy wujek Kola zdecydował, że spędzi zimę na stałym lądzie.

– Z daczy została sterta cegieł. Nie ma już naszego domku, ale Dniepr naniósł piachu i wyspa podniosła się o metr. Teraz przebiega tamtędy linia frontu, jednak wiemy, że pewnego dnia odbudujemy daczę. Ostatnio, gdy popłynęliśmy na wyspę, z lewego brzegu zaczęli do nas strzelać snajper.

Wtedy bracia dobiegli do Drakkara, wskoczyli na łódź i w pośpiechu odpłynęli.

Na wielu wyspach, tam, gdzie dawniej rosły sady, teraz rozkrzewiły się zarośla. Drzewa owocowe, wszystkie te „wiśnie, śliwy, czereśnie, truskawki, maliny”, o których opowiadali bracia Kniażynscy w czerwcu, w ciągu dwóch tygodni „zadusiły się” pod wodą. Cały ląd porósł niemożliwymi do przebrnięcia, wierzbowymi chaszczami.

Chłopaki się żegnają – w oddali, jakieś 200–300 metrów od nich, słysząc wybuch pocisku.

*

Cormac McCarthy, jeden z najbardziej przenikliwych pisarzy końca XX i początku XXI wieku, którego cytat otwiera tę książkę, zmarł akurat, gdy kończyłem główną część reportażu. Jego powieść *Droga* (2006) opisuje podróż ojca i syna po postapokaliptycznym świecie zniszczonym przez katastrofę ekologiczną – rzeki zostały zatrute, a pozbawione liści drzewa złowieszczą skrzypiały, jakby za chwilę miały runąć. Ta tragedia nie pozostawia nadziei na odrodzenie. Nie ma powrotu. Autor kończy swoją książkę słowami, którymi ja także chciałbym zamknąć niniejszy reportaż.



Fotografia – Danuta Deckert